

Lutz Seiler

KRUSO

przekład Dorota Stroińska

Po godzinie szczytowego nasilenia w porze obiadowej Cavallo zarzął po raz pierwszy. Rżąc, wykonywał małe podskoki, jak rozbrykane dziecko, które bawi się w galopującego konia; poza tym lekko prychał i parskał, aż wibrował jego cieniutki wąsik. Te harce jakoś nie bardzo współgrały z jego sposobem bycia (był uosobieniem skrytości). – Romacavalli – ryknął Rimbaud na całą salę „Pustelnika” i zagrzewał ich do pracy: – Avanti, avanti, dilettanti! Ed patrzył z podziwem, jak Rimbaud szeroko rozłożonymi rękami wywijał młynki, jakby aż unosił się na czubkach palców; jak jedną ręką obsługiwał kasę, sortował kwity, na kilka sekund zastygł w bezruchu, żeby odcyfrowywać coś na maleńkim paragoniku, a jednocześnie odbierał z baru (drugą ręką, która coraz bardziej się wydłużała) dużą tacę z piwem i lemoniadą, płynnym ruchem, jakby miał jakąś teleskopową moc; a wszystko nie tracąc z oka wydawania obiadów i robiąc prawie niezauważalny gest do przemykającego meandrycznym ruchem Chrisa.

– Sławo, kiedy nadejdziesz?

Gdy obiadowy szczyt zbliżał się do punktu kulminacyjnego, Rimbaud zaczął serwować cytaty, głównie o treści fekalnej albo pornograficznej, które całkowicie przeczyły jego eleganckiej prezencji i dawały wyraz jakiejś dla Eda nienazwanej nienawiści, głębokiej pogardy, i to pogardy dla wszystkich aspektów życia, dla samego życia w ogóle. – Ale nigdy przenigdy – myślał Ed – nie mogły tego przecież tak naprawdę znaczyć. Pelen euforii, i w gruncie rzeczy wojowniczy głos Rimbauda przemawiał zarazem innym językiem. Ed odbierał te świńskie kawały jako znak trudnej syntezy starszego kelnera i filozofa, której codziennie, tak dobrze i godnie, jak to tylko było możliwe, dokonywał ów niewątpliwie najbardziej czytany członek załogi. Czasem Rimbaud zaczynał nagle mówić po francusku, „mon plongeur, mon ami”, i teraz, w drodze do zmywalni mijając w biegu drzwi Krombacha, wymyślał mu głośno: „Chef du personnel – une catastrophe!”. Dyrektor po swojej akcji na tarasie zniknął im z oczu.

Ed tyrał bez wytchnienia, pot lał się z niego strugami, a wraz potem odpływały resztki myśli i uczuć. Pracował do upadłego, do stabilnego gruntu rzetelnego fizycznego wyczerpania, i wtedy czuł się czysty, ocalony od siebie samego i swojego nieszczęścia; był nikim innym, tylko zmywaczem, który całkiem nieźle sobie radził na posterunku wśród chaosu.

Lutz Seiler
KRUSO

Wydawnictwo Literackie Kraków 2016

ZAPOWIEDŹ 2016

Za pierwszym razem Ed miał wrażenie, że Kruso coś wyjaśnia, że słyszy kolejne instrukcje, na które powinien zwrócić uwagę. Wprawdzie jego słuch oswoił się z pogłosem w zmywalni, ale mimo to najpierw zrozumiał tylko pojedyncze, zwielokrotniane słowa: „człowiek” i „morze”.

– Co? – wrzasnął Ed, przebijając się przez huk godzin szczytu, może zbyt gwałtownie, bo Kruso w jednej chwili przestał ruszać rękami; woda plasnęła o ściankę zlewu.

„Wzdłuż wysokich trzciny, wzdłuż płaskich łąk czołno sunie ku morzu”.

Było to, jak się zdaje, coś w rodzaju czarodziejskiego zaklęcia, bo nagle wszystko wokół ucichło, zamilkło nawet radio w kuchni. Kruso stał z opuszczoną głową, więc Ed przyjął, że rozmowa się skończyła, jeszcze zanim się zaczęła. Zanurzył właśnie ręce w basenie, żeby złowić kolejny talerz, gdy rozległ się chórny śpiew:

„Wzdłuż wysokich trzciny, wzdłuż płaskich łąk czołno sunie ku morzu. Czołno sunie z sunącym księżycem ku morzu...”

Zobaczył, że Rimbaud i Cavallo stoją za jego plecami; śpiewając, dysząc i stękając z wysiłku. Obladowani brudnymi naczyniami na całej długości wyprostowanych rąk, wyglądali jak statysci w teatrze absurdu. Dalej, za nimi, w półmroku słychać było głos Karoli, głęboki i cudownie melodyjny:

„Tak sobie towarzyszą do morza czołno, księżyc i człowiek...”

Kruso już tylko szeptał, tym potężniej brzmiały basy, głosy kucharza Mika i Rolfa:

„Czemu księżyc i człowiek suną wspólnie potulnie ku morzu, wspólnie potulnie ku morzu!”

Jeszcze zanim Ed zdążył ogarnąć całą scenę, już talerze kelnerów z trzaskiem wylądowały w zlewie; Chris wpadł jak burza, ominął wszystkich i drąc się na całe gardło: „wspólnie potulnie ku morzu!”, rzucił się na szyję Krusowi, który stał nieporuszony, co właściwie nie sprawiało wrażenia oschłości ani sztuczności. Postawa Krusa odpowiadała jedynie godności wiersza, który wspólnie deklamowali, najwidoczniej było to coś w rodzaju hymnu „Pustelnika”, „nasza świętość”, jak nieraz jeszcze mówił potem Kruso.

Podobnie jak węzłki serc i rzenie Cavalla, tak i chórny śpiew o człowieku i morzu były rytuałem godzin szczytu i towarzyszącego im delirium, były ich punktem kulminacyjnym. Kilka minut później, z kuchni rozległo się grzmiące „finito” kucharza Mika, koniec zamówień à la carte. W mig pozabierano ze stołów jadłospisy, niektórym szczególnie rozczerwanym gościom blade przebitki kart trzeba było siłą wyrwać z ręki. Podawano nadal dwa lub trzy dania, najczęściej były to solanka, schab po myśliwsku i rolada wołowa. Zadania ogłoszenia awaryjnego menu podjął się Chris, który ze względu na swój swobodny i bezpośredni sposób bycia był ulubionym kelnerem gości. – Nasz najlepszy człowiek z obsługi – zapiszczał Rimbaud, stulając usta w ryjek.

Rimbaud i Cavallo lubili naigrawać się z Chrisa, który w zeszłym roku przyjechał na wyspę z Magdeburga, ze swojego dawnego życia elektryka; elektryczny, jak on sam o sobie mówił.

Po tym jak dwie godziny utykał i kręcił się po lokalu jak fryga (na karku niemrawo podskakiwała mu pletwa tłustych czarnych loków), Chris wyszedł na dwór, stanął na stopniach tarasu i zastął w bezruchu jak królewski postaniec. Począł jakiś czas, aż zapanuje spokój i wszyscy skierują na niego oczy. Wtedy zawołał „solanka”, a ci, którzy chcieli zjeść solankę, wiedzieli, że trzeba głośno i wyraźnie powiedzieć „jest”, wstając jednocześnie z miejsc, „żebym miał orientację”, jak to Chris uzasadnił, logicznie i rozumiale. Podobnie rzecz się miała z roznoszeniem potraw. Chris często wybiegał na taras z sześcioma lub siedmioma talerzami i wołał „sznyce!”, a zamawiający wstawali z krzesel i krzyczeli „jest”, niepotrzebnie głośno, w nadziei że będą obsłużeni w pierwszej kolejności. Zdarzało się, że ktoś przesadził i wołał „tak jest!” albo trząsał obcasami, na co Chris, który jednym płynnym ruchem zsuwał na stoły talerz po talerzu lub miszkę po misce, odkrzykiwał coś w rodzaju „dwadzieścia pompek!” lub „do przysiadów z pompką i wyskokiem - biegiem marsz!”, odrzucając jednocześnie w tył głowę. Wyras jego twarzy oscylował między pogardą a obłędem, a wszystko to było oczywiście tylko zabawą.

Mimo to salutowanie miejscami nabierało poważnego charakteru, jakby Chris rzeczywiście emanował jakąś siłą wyższą albo jakby obudził w niektórych pragnienia, które oni sami ledwie mogli poskromić. Wśród gości byli więc tacy, którzy zaraz się rzucali, żeby ćwiczyć pompki albo wyprosty w bok ramion zgiętych w łokciach, a przysiadami z pompką i wyskokiem wywoływali straszny popłoch wśród ptaków, które licząc na resztki jedzenia, siedziały ukryte w pobliskich krzakach. Byli też tacy, którzy po prostu nie znali granic (jakby to ujęła mama Eda), widocznie urlop im nie służył, a może dręczyło ich nieudane życie. Chrisowi było to obojętne. Pod koniec godzin szczytu zostawiał gości ich własnemu losowi. O godzinie 13.30 zamykano kuchnię, punkt 14.00 ryglowano drzwi na taras.

Rimbaud i Cavallo zrzucili marynarki i koszule, pochylił się nad zlewem i garściami nabierając zimnej wody, chlapali ją sobie pod pachy. Kiedy Ed po godzinach szczytu wyszedł z budynku na rampę, żeby wciągnąć świeże powietrze w podrażnione wyziewami zmywalni płuca, poczuł się jak wewnątrz zakrzepłej skorupy, jak skamielina, której proces fosylizacji nie zakończył się jeszcze. Podczas gdy skóra na twarzy była napięta i sucha jak pergamin, na rękach marszczyła się i schodziła białawymi platkami z opuszek palców. Stał niepewnie na nogach, miał lekkie zawroty głowy, zapewne od syropowatego płynu do naczyń, który prawie w ogóle nie produkował piany, za to wydzielal żrące opary, przez co nabawił się rozstroju żołądka.

Podczas wspólnego posiłku załogi w przerwie obiadowej Edowi nie udało się oddzielić widoku łykowego sznycla schabowego- na swoim talerzu od widoku kotletów, które

oglądał przedtem – rozkrojone, przeżute, wyplute, rozdeptane lub pływające w basenie pomyj. Właściwie wystarczyła mu jego codzienna cebula, nie potrzebował nic więcej. Był przemęczony, nie mógł ruszyć ręką ani nogą, pragnął tylko rozłożyć się na łóżku i spać, ale mimo to postanowił trzymać się swojego zwyczaju poobiedniej przechadzki nad morze.

Zanim ruszył drogą w dół, przystanął chwilę na podwórze przy stoliku, gdzie siedzieli pozostali, w końcu jednak zjadł coś i sięgnął po papierosa, znów zaczął palić, wszyscy palili i prawie nikt się nie odzywał. Odczuwał to samo pełne powagi zadowolenie, którego dobroczynny wpływ poznał kiedyś podczas pracy na budowie, zanim poszedł na studia, by tam gubić się w językowych historiach, błędzić w labiryntach syntaktyki, morfologii, ortografii, leksykologii i podobnych konstrukcji, cała ta karuzela idiotów, jak studenci nazywali egzamin z owych przedmiotów na koniec pierwszego roku, pełni odrazy i szacunku, to było ich physikum, ich pierwszy egzamin ze zdań Musila albo Kleista, które niejednego doprowadziły do rozpacz i upadku.

Ed napawał się błogostanem; odczuwał coś w rodzaju zaszczytu: w tym momencie wszyscy złączeni byli wspólnym poczuciem dumy. Szczera duma nie tyle wynikała z pracy, którą wykonywali (pracy niewolników), ile z tego, że udało im się dokonać rzeczy w gruncie niemożliwej. Tak – oparli się nawałnicy. Nic nie dawało im tak głębokiego poczucia wspólnoty jak godziny szczytu i towarzyszący im zgiełk i nadludzki wysiłek. Należeli do załogi, która – tyle było pewne – do upadłego będzie walczyć o swój statek, używając wszystkich swoich umiejętności, gastronomicznej brawury i owych sztuk, które znali z racji swojej akademickiej i artystycznej przeszłości. Dokonując niemożliwego, w tej gwałtownej, chaotycznej akcji bez wątpienia wypełnili kodeks honorowy, o którym mówił Kruso. Ów kodeks, który silnymi więzami połączył eseserowców. Za pomocą wyjątkowego szaleństwa, jakieś esencji gastronomii i poezji, utrzymywali swoją arkę na wodzie dzień za dniem. I ratowali kołysząc się wyspę. (fragment)

Lutz Seiler urodził się w 1963 w Turynii, obecnie mieszka w Wilhelmshorst pod Berlinem i w Sztokholmie. Po ukończeniu szkoły zawodowej pracował jako murarz i cieśla. W 1990 r. ukończył studia germanistyczne. Od 1997 r. kieruje programem literackim w domu Petera Huchela. Autor podróży po Azji centralnej i Europie wschodniej, był stypendystą Villa Aurora w Los Angeles oraz Villa Massimo w Rzymie. Lutz Seiler jest liczącym się i wielokrotnie nagradzanym poetą.

**Powieść „Kruso” ukaze się wiosną 2016 r. nakładem
Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego
w przekładzie Doroty Strońskiej**